

MAJA DROZD



Lapach ziót



MAJA DROZD

Lapach ziół



MAJA DROZD

Lapach ziół



Redakcja: Joanna Rychter

Korekta: Dominika Kamyszek • OpiekunkaSlova.pl

Projekt i skład książki:

Kachna Kraśnianka-Sołtys • Krainy L... @kachna.krasnianka

Skład okładki: Kachna Kraśnianka-Sołtys

Ilustracja na okładkę oraz grafiki: Edyta Gardo • @edytagardo

Wydawnictwo: KSD Małgorzata Drozdowska • pisarkadoszuflady.pl

ISBN: 978-83-67409-11-7



*Świat łamie każdego i potem niektórzy
są jeszcze mocniejsi w miejscach złamania.
Ale takich, co nie dają się złamać, świat zabija.*

Ernest Hemingway – *Pożegnanie z bronią*



Rok 1900

Ewa Zalewska stanęła w drzwiach gabinetu męża.
– Przyjechali – powiedziała.

Tadeusz podniósł głowę znad papierów rozsypanych w nieładzie na biurku. Spojrzał na żonę nieobecny spojrzeniem.

– Przyjechali – powtórzyła ponaglącym tonem.

Zanim mężczyzna przypomniał sobie, kto i dlaczego przyjechał, kobieta odezwała się po raz kolejny:

– Rodzice już są.

Zalewski niespiesznie podniósł się z krzesła, odłożył dokumenty do szuflady biurka, po czym odgarnął ręką jasne włosy, które opadły mu na oczy, poprawił surdut i ruszył w kierunku drzwi.

Jego żona, ubrana w jasną bluzkę wykończoną koronkową szmizetką i takimiz mankietami oraz ciemną, suto marszczoną z tyłu spódnicę, z włosami wysoko i modnie upiętymi do góry, wyglądała, jak przystało na stateczną panią domu. Z pozoru wydawała się spokojna i opanowana, jednak ton jej głosu i nerwowe gładzenie ubioru wskazywały, jak bardzo ta kobieta jest zdenerwowana wizytą rodziców w ich domu.



Tadeusz podszedł do Ewy i uśmiechnął się, próbując w ten sposób dodać jej możliwie jak najwięcej otuchy oraz wsparcia. A potem, zaczerpnąwszy głęboko powietrza, podał jej swoje ramię.

– Chodźmy więc, w imię Boże... – westchnął.

– W imię Boże – powtórzyła jak echo Zalewska, ujmując męża pod ramię.

Kiedy powóz państwa Grońskich zajechał na wysypany drobnym żwirem podjazd, Ewa z Tadeuszem i służbą czekali na gości, stojąc na schodach prowadzących na ganek ich domu.

Paweł Groński najpierw serdecznie uścisnął zięcia, a potem długo tulił w swoich ramionach ukochaną córkę. Aurelia Grońska natomiast, chłodna i dystyngowana, ograniczyła powitanie do podania ręki i cmoknięcia powietrza obok policzków Ewy, a potem oceniającym spojrzeniem obrzuciła służbę – Weronikę i Kacpra. Skinęła im uprzejmie głową, nie zaszczycając ich ani słowem.

Państwo Grońscy zamierzali spędzić u swojej najmłodszej córki i zięcia święta wielkanocne. Była to ich pierwsza wizyta w Zalesiu, majątku należącym kiedyś do dziadków Tadeusza.

Podróż powozem z Grodna po nierównych i wyboistych drogach w czasie wiosennych roztopów nie należała do najłatwiejszych, a mimo to rodzice nie wyglądali na szczególnie zmęczonych.

– Nasiedzieliśmy się w podróży, pora teraz rozprostować nogi – odpowiedziała córce pani Aurelia, kiedy ta nalegała, żeby odpoczęli nieco. – Może oprowadzisz nas po pokojach?

Ewa z radością przystała na propozycję matki. Położony na skraju lasu dom w Zalesiu był klasycznym drewnianym dworkiem na kamiennej podmurówce. Mimo że mieszkali tam z Tadeuszem



zaledwie od miesiąca, to miejsce od samego początku skradło serce młodej kobiety. Nie wiedziała, czy chodziło o bezpośrednie sąsiedztwo lasu, czy o ciszę, która grała w uszach, czy też o zapach ziemi i wiatru. A może raczej sprawiła to obecność mężczyzny, którego Ewa pokochała całym swoim młodzieńczym sercem, a los okazał się dla niej łaskawy i uczucie zostało odwzajemnione.

Tadeusz Zalewski wprawdzie wychował się w Warszawie, ale w dzieciństwie spędzał u dziadków każde wakacje. To właśnie ich wolą Tadeuszowi po jego ślubie z Ewą Grońską przypadło w udziale prowadzenie dworu i folwarku w Zalesiu.

Z ganku towarzystwo przeszło do niewielkiej sieni i dalej przestronnym korytarzem do pomieszczeń w głębi domu. Na lewo od wejścia znajdowały się drzwi do gabinetu Tadeusza. Dalej sypialnia Ewy, która aktualnie służyła obojgu małżonkom, przylegająca do niej spora garderoba i kilka pomieszczeń, które kiedyś były pokojami dziecinnymi, a teraz przeznaczono je dla gości. Tam właśnie w czasie swojego pobytu w Zalesiu zamieszkać mieli rodzice Ewy. Na końcu korytarza mieściła się kuchnia i niewielkie pomieszczenie sanitarne. Takie udogodnienie, nieczęsto spotykane w starych dworach, zyskało uznanie w oczach państwa Grońskich. Po prawej stronie od wejścia znajdował się największy pokój – obszerny narożny salon połączony z małą jadalnią. Z salonu, jak również z korytarza i jadalni, można było przejść na werandę, która wychodziła na podwórko z widokiem na sad, ogródek i zabudowania gospodarcze.

W czasach kiedy w Zalesiu mieszkali dziadkowie Tadeusza, dość liczna wtedy służba zajmowała pomieszczenia w oficynie. Teraz



były to zaledwie trzy osoby: parobek Kacper, stajenny Maciej i gospodyni Weronika. W oficynie mieszkali tylko mężczyźni, bo Weronika miała swój pokój na poddaszu we dworze, tuż nad kuchnią.

Podczas zwiedzania dworu pani Aurelia zatrzymała się nieco dłużej właśnie w kuchni, by lepiej przyjrzeć się gospodyni. Weronika była kobietą w sile wieku, niewielkiego wzrostu i solidnej budowy. Twarz miała rumianą, oczy żywe, a delikatne zmarszczki wokół nich wskazywały, że lubi się śmiać. Ciemne włosy upięła gładko i schowała pod białym czepkiem, który włożyła specjalnie na przyjazd rodziców młodej pani. Jej prostą ciemną suknię przykrywał wykończony falbanami, biały perkalowy fartuch. Weronika pochodziła ze wsi przylegającej do dworu w Zalesiu i służyła jeszcze u babki Tadeusza. Choć wówczas potrafiła zadowolić niezwykle wymagającą panią Julię, to wcale nie czuła się komfortowo, lustrowana chłodnym wzrokiem Aurelii Grońskiej.

Uwieszona u ramienia ojca, Ewa przez cały czas oprowadzania po domu z uwagą obserwowała twarz matki. Znała dobrze charakter swojej rodzicielki, dlatego nie spodziewała się usłyszeć z jej ust jakichkolwiek przychylnych słów. Brak krytyki i uszczypliwych uwag uważać mogła za największy komplement.

– Piękny dom. Wygodny, zadbany – powiedziała jednak Aurelia Grońska, kiedy zasiedli w salonie.

Zaskoczona Ewa uniosła brwi i ukradkiem spojrzała na męża, który wyglądał na nie mniej zdziwionego.

– Babka kochała to miejsce – spokojnie i z rozważą odpowiedział teściowej Zalewski.



– To widać. Budynek jest starannie zaprojektowany, a pomieszczenia wykończone z dbałością o szczegóły, zachwycają ponadczasową elegancją – stwierdziła kobieta, spoglądając wymownie w stronę córki, zupełnie jakby chciała przekazać jej w ten sposób wytyczne co do tego, w jakim stanie należy utrzymać dom. – Cieszę się, że jest też i pianino – powiedziała Grońska, spoglądając wgląd salonu. – Będiesz mogła, Ewuniu, doskonalić grę – dodała z uszczypliwością, którą zdołaliby wychwycić tylko ci, którzy znali stosunki panujące w rodzinie Grońskich.

Ewa już jako dziecko nie znosiła gry na pianinie. Jej matka uważała jednak, że to umiejętność, którą koniecznie musi posiadać każda dobrze wychowana panna, dlatego zmuszała obie swoje córki do żmudnych, monotonnych i wielogodzinnych ćwiczeń. W odróżnieniu od swojej starszej siostry Emilii, która – posłuszna matce – ćwiczyła bez narzekania, młodsza Grońska pod byle pretekstem uciekała z nużących ją lekcji gry na tym instrumencie. Pani Aurelia nigdy nie kryła, że Ewa stanowi dla niej źródło rozczarowania i wiecznego utrapienia.

Najmłodsza córka była natomiast ulubienicą ojca. Paweł Groński, znany i ceniony grodzieński lekarz, lubił, kiedy Ewa przesiadywała z nim w jego gabinecie albo w bibliotece, zajmując się czytaniem książek, a nie szydełkowaniem czy zabawą lalkami. Dziewczyne bardziej interesowało leczenie ludzi niż stroje i bale. Matka ubolewała nad tym i nieustannie upominała męża, że niepotrzebnie mąci jej w głowie i nic dobrego z tego wyniknąć nie może. I tak, pod wpływem perswazji swojej żony, doktor Groński w końcu zabronił córce wstępu do swoich pokojów. Wtedy Ewa, żeby móc



przysłuchiwać się rozmowom ojca z kolegami lekarzami, ukrywała się w szafie. Kiedy się to wydało, wszyscy w domu Grońskich, łącznie z winowajczynią, spodziewali się, że dziewczyna zostanie ukarana, tymczasem stało się coś zupełnie odwrotnego. Doktor Paweł, pomimo utyskiwań i narzekań żony, zaczął opowiadać Ewie jeszcze więcej o swojej pracy. Córka musiała mu tylko przysiąc, że nigdy już bez jego pozwolenia nie będzie uczestniczyć w jego prywatnych rozmowach z innymi lekarzami.

Wobec tak stanowczej postawy swojego męża Aurelia Grońska musiała skapitulować. Machnęła ręką na Ewę i jej ekstrawagancje, zostawiając jej wychowanie ojcu. Sama zaś zajęła się drugą córką, dbając, żeby chociaż jedna z Grońskich została należycie przygotowana do przyszłej roli żony i matki, stanowiącej podporę dla męża i wzór dla dzieci. Marzeniem Aurelii było jak najlepiej wydać Emilię za mąż. I to też niebawem nastąpiło, bo starszą z sióstr Grońskich zainteresował się bogaty ziemianin z okolic Białegostoku, Kazimierz Sakowicz. Emilia została jego żoną i zamieszkała na wsi w majątku swojego męża, gdzie właśnie oczekiwała przyjścia na świat drugiego potomka.

Pani Grońska co jakiś czas wypominała mężowi, że zupełnie rozpuścił młodszą z ich córek i to przez jego postępowanie dziewczyna zostanie starą panną. Jaki bowiem mężczyzna będzie chciał ożenić się z wprawdzie niebrzydką, ale krnąbrną i nieposłuszną dziewczyną – myślała. Obawy matki okazały się jednak zbyteczne. Pewnego lata wraz z synem Grońskich – Edwardem, który kończył studia w Petersburgu – do Grodna przyjechał w odwiedziny jego kolega, Tadeusz Zalewski.



Z czasem młody człowiek zaczął bywać u Grońskich coraz częściej, nie tyle ze względu na swojego przyjaciela, co właśnie dla jego młodszej siostry, a nad dysputy polityczne i naukowe z jej ojcem i bratem przedkładał czas spędzany wyłącznie z nią. I tak, po niespełna roku znajomości, młodzi zaręczyli się i wzięli ślub.

Aurelia nie kryła swojej radości. Dwie córki dobrze wydane za mąż. Los nie mógł być dla niej łaskawszy. Niepocieszony pozostawał doktor Groński, któremu bardzo brakowało ukochanej córki. Jego cierpienia łagodził fakt, że miejsce, gdzie młodzi zamieszkali po ślubie, znajdowało się zaledwie dzień drogi od Grodna.



– Cieszę się, że przyjechaliście. Bardzo za wami tęskniłam – zwróciła się do ojca Ewa, kiedy przeszli do pokoju gościnnego, gdzie przyniesiono kufry podróżne rodziców.

Mężczyzna uśmiechnął się wymownie. Oboje doskonale wiedzieli, że tak naprawdę dziewczyna tęskniła wyłącznie za nim.

Paweł Groński spoczął w fotelu i z radością obserwował córkę, gdy podekscytowana rozpakowywała kufer z rzeczami przywiezionymi dla niej z domu w Grodnie. Jako pierwszą otworzyła paczkę z książkami, które ojciec zamówił specjalnie dla swojej ulubienicy u zaprzyjaźnionego księgarza z Warszawy. Na widok takiego prezentu oczy Ewy rozbłysły.

– Dziękuję, tatku. – Wyraźnie wzruszona przeglądała tytuły, gładziła grzbiety wolumenów i wdychała zapach kartek.



– Nie ma za co, kochana. Cieszę się, że mogłem je dla ciebie kupić. Będziesz miała co czytać. O ile znajdziesz na to teraz czas – zauważył ojciec.

– Wykorzystam ten przeznaczony na grę na pianinie – odpowiedziała Ewa. Najwyraźniej złośliwość nie była cechą charakteru, którą w rodzinie Grońskich posiadała wyłącznie pani Aurelia.

Ojciec udał, że nie usłyszał tej uszczypliwości, i kontynuował:

– Zdołałem nawet zdobyć kilka po polsku. – Groński nie krył zadowolenia. – Panowie Prus i Sienkiewicz, no i oczywiście pani Eliza – wspomniał z dumą o mieszkającej w Grodnie Elizie Orzeszkowej. – Podobno dobre. Sama ocenisz. Są też panowie Dumas, Hugo i jeszcze Dostojewski, no i Tolstoj. Tylko nic nie mów matce – zastrzegł. – Raczej nie byłaby zachwycona.

Ewa przytaknęła. Matka uważała, że książki, którymi ona, jej brat Edward i ojciec zaczytują się wieczorami, może i są właściwe dla mężczyzn, ale na pewno nie dla młodej kobiety. Generalnie pani Aurelia twierdziła, że kobiety powinny zajmować się innymi, bardziej przydatnymi rzeczami niż czytanie, które tylko mąci im w głowach.

Ewa wyjmowała z kufra kolejne rzeczy: jej stare książki, które zostawiła w domu, poradniki medyczne, które dostała dawno temu od brata i ojca, czasopisma naukowe, notatki i ulubione przybory do pisania. W skrzyni odkryła również sporych rozmiarów drewniane pudełko. Podnosząc je, aż stęknęła z wysiłku.

– Uważaj! To ciężkie. – Ojciec poderwał się z miejsca, żeby pomóc córce.

Zabrzęczały we wnętrzu jakieś buteleczki. Ewa otworzyła metalowe zatrzaski.



– Przywiozłem trochę medykamentów – wyznał pan Paweł. – Masz tu wszystko, co niezbędne w domu i na obejściu. Lekarstwa, suszone zioła... Jest nawet morfina i chloroform. Wiesz przecież, jak tego używać. Mam nadzieję, że się nie przyda, ale nigdy nic nie wiadomo.

Ewa przytuliła głowę do ramienia ojca, a Groński z trudem opanował cisnące się do oczu łzy. Dla nikogo nie stanowiło tajemnicy, że to Ewę kochał najbardziej ze wszystkich swoich dzieci. Bystra, inteligentna i niezwykle energiczna dziewczynka. Gdyby tylko urodziła się chłopcem – myślał z żalem – mogłaby być bardzo dobrym lekarzem.

– Przywiozłem ci coś jeszcze – powiedział, wskazując głową na kufer. – Zobacz sama.

Ewa odłożyła na ziemię pachnącą apteką pudło i pochyliła się nad skrzynią. Odsunęła na bok ułożone w kostkę jedwabne szale i uśmiechnęła się na widok tego, co tam zobaczyła. Była to jej stara skórzana torba, w której znajdowały się narzędzia lekarskie.

Doktor Groński miał w zwyczaju raz w tygodniu odwiedzać chorych, podopiecznych sióstr Brygidek¹ w Grodnie, albo wstępować do szpitala żydowskiego przy rynku Niemieckim². Przebywali tam najbiedniejsi jego pacjenci, których nie było stać na lekarza. Mawiał zawsze, że tylko w tych miejscach czuje się

1 Klasztor Panien Brygidek w Grodnie. W 1908 roku klasztor przejęły Nazaretanki.

2 W pierwszej połowie XIX w. na rynku Niemieckim otwarto szpital żydowski (ul Budzionnaha 2). W latach 90. XIX w. w lecznicy prowadzono trzy oddziały: zakaźny, chorób wewnętrznych i chirurgiczny.



naprawdę potrzebny. To do tego miejsca doktor Paweł zabierał w tajemnicy przed żoną najmłodszą córkę, ucząc ją, jak leczyć ludzi. Tam, gdzie bieda i cierpienie były większe niż uprzedzenia, Ewa mogła chociaż trochę poczuć się jak ojciec. Doktor Groński wiedział jednak doskonale, że świat nie zaakceptuje jeszcze lekarza kobiety, dlatego pewnego dnia odbył z córką poważną rozmowę na ten temat. I wtedy właśnie dostała od niego w prezencie torbę z przyrządami lekarskimi, którą teraz trzymała w dłoniach. Zupełnie jakby ojciec chciał jej w ten sposób dać nadzieję, że kiedyś świat się zmieni, a ona powinna być na to gotowa.

– Na nic ci się ona pewnie tutaj nie zda, ale w domu w Grodnie tylko zawadza – powiedział do córki Groński.

Ewa zarzuciła ręce na szyję ojca.

– Mówiłam ci już, tatusiu, jak bardzo za tobą tęskniłam?

– Za nami, moja droga – roześmiał się ojciec. – Mówiłaś, że tęskniłaś za nami...

Prezenty od ojca sprawiły Ewie tak ogromną radość, że tego dnia nie zwracała już zupełnie uwagi na złośliwości i docinki ze strony matki.

– Dwa tygodnie szybko zlecą – zwrócił się do żony Tadeusz, kiedy wieczorem młodzi zamknęli za sobą drzwi ich wspólnej sypialni. Po tych słowach namiętnie pocałował ukochaną.

– A co, jeśli matka będzie chciała zostać dłużej? – zapytała Ewa, zatrzymując go w pół drogi ku drugiemu pocałunkowi. Zanim zaskoczony mężczyzna zdołał zareagować na to, co powiedziała, dodała: – Nie... Nie będzie chciała. Nie ma takiej możliwości – uspokoiła samą siebie, a potem pochyliła się ku



wciąż oczekującym rozkoszy jej ust wargom Tadeusza. – A gdyby nawet... to coś wymyślimy...

Dużo później, kiedy zasypiała, jej myśli powędrowały do ułożonych na stole rzeczy przywiezionych dla niej przez ojca. W sercu jej gościły pospołu i radość, i smutek. Radość, że jest z mężczyzną, którego kocha, i smutek, że w Grodnie zostawiła coś, co kochała robić.

– Coś wymyślimy – zamruczał Tadeusz, przytulając się do niej.
Coś wymyślimy – zawtórowała mu w myślach kobieta.



Ewa nie myliła się, sądząc, że najbliższy czas nie będzie należał do najłatwiejszych. Już następnego dnia po przyjeździe matka przystąpiła do organizowania i nadzorowania przygotowań do świąt. Planowała potrzebne sprawunki i doglądała prac w kuchni, a tych z powodu nadchodzącej Wielkanocy było tak dużo, że Weronice przyszła ze wsi pomagać Bugajowa, która zwykle służyła pomocą jako praczka. W całej tej niezmierzonej liczbie wszelakich obowiązków Aurelia Grońska, w przeciwieństwie do młodej Zalewskiej, odnajdywała się znakomicie. Momentami nawet nachodziły Ewę myśli, że bez wskazówek matki pewnie zapomniałaby o połowie rzeczy, o których przecież powinna pamiętać żona właściciela ziemskiego.

Tymczasem panowie – Tadeusz wraz z teściem – spędzali czas razem, zajęci, jak sami mówili, ogromnie ważnymi sprawami gospodarczymi. Chociaż wszyscy, a szczególnie Ewa z matką, doskonale



wiedzieli, że kto jak kto, ale Paweł Groński to o gospodarowaniu majątkiem ziemskim wie tyle co nic. Panowie objeżdżali konno pola, przy okazji spotykając się z okolicznymi ziemianami, a do domu wracali jedynie na posiłki oraz aby spędzić w towarzystwie kobiet wieczory. To one były dla Ewy nagrodą za wypełnione obowiązki dzień.

I tak, nie wiadomo kiedy, minął pierwszy tydzień pobytu państwa Grońskich u córki.

Świętowanie Wielkiego Tygodnia pochłonęło już wszystkich mieszkańców Zalesia bez względu na płeć. Czas wypełniały im nabożeństwa, pomaganie biednym, święcenie pokarmów we dworze, na które przybyli ksiądz Karol z Kamionki i kobiety oraz dzieci ze wsi, a potem rezurekcja i po niej tradycyjny świąteczny poczęstunek dla włościan. Zalewscy wraz z rodzicami otrzymali również zaproszenie na świąteczną popołudniową herbatę do hrabiostwa Nowowiejskich.

Pałac w Oleszycach był niezwykle piękną rezydencją. Legenda głosiła, że pamiętała ona czasy króla Zygmunta Augusta, który bywał tutaj, kiedy polował w pobliskich bogatych w zwierzyne lasach. Właściciel pałacu, hrabia Dominik Nowowiejski, człowiek światły i poważany przez wszystkich okolicznych ziemian, cenił sobie towarzystwo młodego Zalewskiego. Pamiętał go dobrze z czasów, gdy Tadeusz był chłopcem, a jego dziadka Ignacego bardzo szanował.

Ewa nie miała jeszcze okazji lepiej poznać hrabiny Anastazji Nowowiejskiej. Wprawdzie zostały sobie przedstawione, ale było to za mało, żeby Zalewska mogła sobie wyrobić o niej jakiegokolwiek



zdanie. Wydawało jej się, że ze względu na sposób bycia i zachowanie kobieta szybciej znajdzie wspólny język z jej matką niż z nią samą. Nie myliła się. Aurelia Grońska z hrabiną spędziły miłe popołudnie, nie dopuszczając prawie w ogóle do głosu młodej Zalewskiej, której nie pozostawało nic innego jak uśmiechać się grzecznie i pięknie wyglądać.

Ewa wiele by dała, żeby móc udać się wraz z mężem do biblioteki, gdzie panowie palili cygara i – jak się jej wydawało – rozmawiali na tematy znacznie ciekawsze niż te poruszane w salonie hrabiny Nowowiejskiej.



– Zadzomowiłeś się już na dobre w Zalesiu? – zagadnął Tadeusza hrabia. – Jak młoda żona?

– Jesteśmy tu dopiero miesiąc, ale powoli zaczynam czuć się jak w domu. Oboje z Ewą musimy się jeszcze dużo nauczyć o prowadzeniu folwarku.

– Owszem, czeka was dużo pracy – przytaknął Nowowiejski. – Życie w mieście różni się znacznie od tego, które tutaj wiemy. To duża zmiana dla was obojga.

Przez poprzednie lata to hrabia Nowowiejski sprawował opiekę gospodarską nad majątkiem starszych państwa Zalewskich. Zarządca jego dóbr, pan Zakrzewski, pilnował, żeby w Zalesiu wszystko działało, jak należy, do czasu, kiedy jeden z wnuków Ignacego, Jakub albo Tadeusz, przejmie majątek.



– Życie na wsi też ma swoje uroki – zauważył Zalewski. – Więcej tu przestrzeni, zieleni, łąk. No i są lasy...

– À propos lasów – wtrącił hrabia. – Młody Brodzki opiekuje się teraz moimi lasami, mógłbyś poprosić go o pomoc w tej kwestii. On jest z Zalesia, znasz go przecież. Z tego, co pamiętam, przyjaźniliście się w dzieciństwie.

– Anton wciąż tu jest? Myślałem, że wyjechał z macochą i ojczymem do miasta.

– Wrócił. On bez lasu nie wytrzyma.

– Jest w Oleszycach?

– Teraz nie. Zimę spędza u siebie, na Czarcich Bagnach. Darowałem mu kawałek lasu, postawił w nim leśniczówkę. Lubi się tam zaszyć, a i dla mnie dobrze, jak zwierzynę dogłębnie w zimie. Wiosną już, to pewnie niedługo do nas zawita. Ucieszy się, gdy mu powiem, że wróciłeś do Zalesia. Co planujesz w tym roku zasiać na polach od Gajdowa? – zapytał hrabia, płynnie wracając do rozmowy o gospodarce. – Pamiętaj, że o wszystko możesz prosić Zakrzewskiego. Nie odmówi. A i mnie będzie ogromnie miło, jeśli odwiedzisz czasem Oleszyce.



Ewie wydawało się, że po Wielkanocy zajęć we dworze będzie mniej, a co za tym idzie – że matka odpuści sobie musztrowanie córki i służby. Tymczasem Aurelia wcale nie zamierzała przestać tego robić. Wręcz odwrotnie, wyglądało, jakby każdą chwilę tych



ostatnich dni ich pobytu w Zalesiu kobieta chciała wykorzystać, by nadrobić luki w wychowaniu córki. Grońska miała nadzieję, że teraz, kiedy Ewa sama została panią domu, należycie doceni wszelkie pomocne rady matki. Zalewska próbowała dać do zrozumienia swojej rodzicielce, że jest mężatką i ma własne zdanie w pewnych kwestiach, ta jednak nie przyjmowała tego faktu do wiadomości i wszystkie argumenty Ewy kwitowała jednym zdaniem: „Co ty tam, dziecko, możesz wiedzieć, za młoda jesteś”. Zupełnie jakby przeżyte lata dawały matce wyłączność na wiedzę i decyzyjność.

Zalewska każdego dnia rano brała głęboki wdech i układając włosy przed lustrem, mówiła w myślach do siebie, że da radę, że wytrzyma jeszcze trochę, bo przecież już niedługo znowu wszystko wróci do normy i nie będzie musiała spełniać oczekiwań swojej rodzicielki. Znów będzie mogła nosić luźniej zasnurowany gorset, który teraz matka codziennie ściągała jej tak mocno, że Ewa prawie traciła dech. Zdaniem Grońskiej talia damy powinna być wąska jak u osy. Będzie mogła też do woli zaczytywać się w Dostojewskim i Hugo, nie bojąc się, że matka zasłabnie na sam widok nazwiska autora. W dodatku nie skończy się świat, jeśli wyjdzie z domu bez kapelusza i rękawiczek.

Wreszcie nadszedł dzień wyjazdu rodziców Ewy do Grodna. Sądząc po twarzach Grońskich, oboje opuszczali Zalesie ze smutkiem. Doktora Grońskiego smuciło rozstanie z córką i zięciem, natomiast Aurelia Grońska żałowała, że nie zdołała w tak krótkim czasie nauczyć Ewy więcej o prowadzeniu domu. Przez moment nawet zastanawiała się, czy nie powinna zostać w Zalesiu nieco dłużej. Na szczęście dla młodej Zalewskiej jej siostra Emilia, będąc



w zaawansowanej ciąży, a mając jeszcze do tego małe dziecko przy sobie, zdecydowanie bardziej potrzebowała pomocy matki.

I tak Aurelia i Paweł Grońscy po dwóch tygodniach spędzonych we dworze pod lasem, żegnani przez młodych Zalewskich, wsiedli do powozu i udali się w drogę powrotną. Ewa i Tadeusz długo stali na schodach ganku i patrzyli w ślad za odjeżdżającym powozem, który wiozł rodziców w stronę Grodna. Kiedy służba rozeszła się już do swoich obowiązków, oni spojrzeli na siebie z uśmiechem.

– Pójdę do koni. Chcesz iść ze mną? – zapytał Tadeusz, dając żonie do zrozumienia, że wszystko wraca do stanu rzeczy sprzed wizyty pani Aurelii, więc domeną pani na Zalesiu nie musi być wyłącznie kuchnia i dom.

– Nie. Pójdę na spacer. Przyda mi się trochę ruchu – powiedziała Ewa, chociaż małżonkowie doskonale wiedzieli, że tak naprawdę kobieta chce przewietrzyć głowę.

– Zawołać Weronikę?

– Nie trzeba. Przejdę się tylko ścieżką pod las. To niedaleko.

– Dobrze. – Tadeusz objął żonę i pocałował ją w usta, a następnie udał się w stronę zabudowań gospodarczych.

Ewa natomiast ruszyła ścieżką wiodącą przez łąki wzdłuż lasu. Z początku szła wolno, a potem coraz szybciej i szybciej. Gonili ją myśli, których chciała się jak najszybciej pozbyć z głowy. Miała nadzieję, że chłodny wiosenny wiatr, który teraz rozwiewał jej włosy, w tym pomoże.

Nie rozumiała, dlaczego jej życie miało ograniczać się do powtarzania tych samych schematów zachowań. Nie godziła się na to, żeby ktoś inny, nie pytając jej o zdanie, decydował, co jest



dla niej dobre, a co złe. Nie mogła uwierzyć, że tysiące kobiet posłusznie wykonują wolę mężczyzn i matek, a żadna z nich nawet nie zastanowiła się nad tym, żeby to zmienić. Ona chciała mieć własne zdanie i samodzielnie decydować nie tylko o tym, jaki wzór wyhaftować na chustce czy serwecie do salonu.

Zalewska szła szybko przed siebie, a wiosenny wiatr chłodził jej rozgorączkowaną głowę. W końcu zabrakło jej tchu i musiała się zatrzymać. Stała tak, z trudem łapiąc oddech, ściśnięta ciasno zasznurowanym przez matkę gorsetem. Rozpięła płaszcz, a potem bluzkę pod szyją. Powoli uspokajał się jej oddech i spowalniał puls przyspieszony od szybkiego marszu.

– Pora wracać – powiedziała i nieśpiesznym już krokiem ruszyła ścieżką w kierunku Zalesia, delectując się soczystą zielenią łąk i lasu.



Anton Brodzki zatrzymał konia, poklepał go po szyi i lekko zeskoczył na ziemię. W tej samej chwili drzwi chaty otworzyły się i na progu stanął gospodarz, a z za jego pleców wychyliły się głowy zaciekawionych dzieci.

– Chrystos woskries – powitał go Anton.

– Woistinu woskries³ – odpowiedział śpiewnym głosem Biryło. –

A co cię do nas sprowadza, Anton?

3 *Chrystos woskries. Woistinu woskries* (ros.) – Chrystus zmartwychwstał. Prawdziwie zmartwychwstał. – Tradycyjne pozdrowienie wielkanocne w religii prawosławnej.



– Odwiedzić was chciałem, Artiom. Stare kąty zobaczyć. – Brodzki odpiął od siodła wypchaną torbę. – Prezenty dla dzieci przywiozłem – powiedział, wskazując na pakunek. – Nie zaprosisz do środka?

– A dyć to to wszystko twoje. Wchodźże, wchodźże. U siebieś przecie. – Biryło usunął się z progu i gestem ręki zaprosił gościa do wnętrza chaty.

– A znajdzie się u ciebie coś dla niego? – Anton ruchem głowy wskazał na konia. – Zapłacę wam.

– Sasza! – zakrzyknął głośno Biryło. – Idzi sjudy, konia oporzadź. Siana daj. Bystriej, bystriej⁴.

Na to zawołanie z chałupy wyleciał chłopak, może kilkunastoletni. Ukłonił się Antonowi i pobiegł do konia. Heban, kary pięciolatek, bez sprzeciwu dał się mu poprowadzić w kierunku stajni. Brodzki zarzucił na plecy torbę z prezentami i wszedł do izby.

– Christos woskries – przywitał gospodynię, która krzątała się przy piecu.

Luba Biryłowa była drobną kobietą mniej więcej w wieku Antona. Liczne ciążę i trudy pracy odcisnęły na niej swoje piętno, tak że wyglądała na starszą.

– Woistinu woskries. – Kobieta uśmiechnęła się do gościa, robiąc mu miejsce przy stole. – Sadients, Anton, sadients⁵.

Brodzki usiadł na drewnianej ławie i zaczął wykladać z worka prezenty. Na przednówku we wsi zawsze było ciężko, ale takie

4 Bystriej... (ros.) – Szybciej, szybciej.

5 Sadients... (ros.) – Siadajcie, Anton, siadajcie.



dobroci, jakie przywiózł z pańskiego stołu z Oleszyc, nawet i latem nie gościły na stole u Biryłów. Wyjął pęto kielbasy, kawał mięsa, ciasto i słodkości dla dzieciaków, których naliczył już piątkę.

– Widzę, że nie próżnujecie. – Wskazał głową na najmniejsze dziecko leżące w kołysce w kącie chaty.

– Boh dał. – Kobieta wzruszyła ramionami, nie przerywając swojej roboty.

– Mam coś i dla was. – Mężczyzna podał Lubie złożony w kostkę i związany tasiemką kwiecisty materiał.

Biryłowa rozłożyła chustę, przyglądając się jej jak świętemu obrazkowi, a potem przytuliła ją do serca jak największy skarb.

– Spasiba⁶, Anton – powiedziała z wdzięcznością.

Biryło usiadł na ławie obok gościa.

– A to dla ciebie – zwrócił się do niego Brodzki.

Na widok samogonu Artiomowi zabłysły oczy. Anton postawił butelkę na stole, a chwilę potem pojawiły się tam dwa kieliszki. Biryło nalał do nich alkohol. Jeden z nich podsunął gościowi, a drugi wziął do ręki, po czym obaj wychylili do dna.

– Co słyhać we wsi? – zapytał Brodzki, odstawiając kieliszek.

– Młody Zalewski wernułsja. Z żenój⁷. – Artiom mieszał rosyjskie i polskie słowa. – A ty się nie żenisz, Anton?

Biryło był dalekim krewnym matki Brodzkiego. Mieszkał wcześniej z żoną kątem u teściów, z bratem i bratową Luby. Dzieciaków z każdym rokiem przybywało i brat krzywo na Biryłów patrzył.

6 Spasiba (ros.) – Dziękuję.

7 Młody Zalewski *wernułsja...* (ros.) – Młody Zalewski wrócił. Z żoną.



Anton nie chciał do wsi na gospodarkę wracać, bo dobrze mu było w lesie, więc zaproponował im, żeby zajęli się jego ojcowizną i w jego chałupie jak u siebie zamieszkali. Widać dobrze im się tu żyło, bo obejście mieli zadbane, a pola poobsiewane. Nic tu jednak do nich nie należało. Żyli w ciągłym strachu, że Brodzki przegoni ich z tej ziemi na poniewierkę. Anton widział ten strach w ich oczach za każdym razem, kiedy przyjeżdżał do wsi.

– Spokojny bądź, Artiom. Nie żenię się. Po co mi żona?

Biryło spojrział na kuzyna. Anton Brodzki z rysów twarzy podobny był do matki, która słynęła z wielkiej urody. Ruchami i siłą przypominał jednak ojca.

– Za tobą to każda dziewczucha ze wsi by poszła na zatracenie, nawet bez swadby⁸ – roześmiał się lubieżnie, ponownie napelniając kieliszki. – Uwidisz ty, jak ci się jaka krasawica ponrawi, to na gospodarkę werniszsja⁹.

– Ja nie wiernus, Artiom. Ja nie wiernus¹⁰. Leśniczówkę mam. Tam mi dobrze. Ta krasawica musiałaby tam ze mną zamieszkać. A taka to się jeszcze nie urodziła, co by tam mieszkać chciała. Na zdrowie, Artiom! – Wychylił kieliszek z samogonem, podniósł się z ławy i powiedział: – A znajdzie się dla mnie posłanie w szopie na dzisiaj? Do dworu idę z Zalewskim się spotkać.

– Mówiłem ci już, tu wszystko twoje.

8 *swadba* (ros.) – ślub

9 *Uwidisz...* (ros.) – Zobaczysz, jak ci się jakaś piękność spodoba, to wrócisz na gospodarkę.

10 *Ja nie wiernius...* (ros.) – Nie wrócę, Artiom, nie wrócę.



Anton westchnął tylko i powiedział:

– Konia bym zostawił, niech odpocznie. Piechotą do dworu pójdę.



Ewa wracała do domu powoli. Cieszyło ją słońce, cieszył wiatr, który najwyraźniej nie mógł się zdecydować, czy jest jeszcze zimowym, czy już wiosennym. Kobieta raz po raz wystawiała twarz na jego ciepłe podmuchy, by zaraz potem odwrócić się do nich tyłem, chroniąc przed chłodem. Zajęta taką zabawą z wiatrem, nie wiedzieć kiedy dotarła w pobliże dworu.

– Pochwalony – rozległ się gdzieś za nią męski głos.

Zdziwiona obejrzała się przez ramię.

– Pochwalony – odpowiedziała w stronę mężczyzny, który zbliżał się ku niej od strony wsi. Nie spostrzegła go wcześniej. – A dokąd to Pan Bóg prowadzi? – zagadnęła, kiedy podszedł bliżej.

Nieznajomy mógł być w wieku Tadeusza. Ogorzała od słońca twarz, duże dłonie i potężne barki świadczyły o tym, że wysiłek fizyczny i codzienna ciężka praca nie są mu obce. Ubiór miał skromny, ale nie chłopski, a przez ramię przewiesił płócienną torbę zamykaną na metalową klamrę.

– Do dworu idę.

Ewa przyjrzała się mężczyźnie z zaciekawieniem.

– Pracuje panienska we dworze? – zapytał nieznajomy, zatrzymując na chwilę wzrok na jej potarganej przez wiatr fryzurze.



Bez kapelusza i rękawiczek, z rozpiętym płaszczem nie wyglądała na jaśnie panią.

– Tak – odpowiedziała, poprawiając ręką włosy.

– Pan Tadeusz w domu?

– W domu.

Ruszyli razem żwirową ścieżką w kierunku zabudowań dworskich.

– Pan Zalewski spodziewa się pana? – zapytała.

– Nie. Ale mam nadzieję, że ucieszy się na mój widok. Znamy się z dzieciństwa. – Głos mężczyzny był melodyjny i śpiewny.

– To pan z Warszawy? – zapytała.

– Nie. Nie z Warszawy – roześmiał się. – Stąd jestem. – Głową wskazał na wieś za nimi. – Z Zalesia. Pan Tadeusz spędzał tutaj u dziadków każde wakacje. A panienka to pewnie z Grodna przyjechała z panią Zalewską? – zapytał.

– Z Grodna – przytaknęła, a ponieważ dotarli już na podwórko przed domem, zatrzymała się i dodała: – Pan Zalewski dzisiaj konie na padoku lonżuje. Zaprowadzę pana.

– Trafilibym sam, ale takiego miłego towarzystwa nie odmówię. – Mężczyzna uśmiechnął się czarująco.

Minęli dom ścieżką idącą przez kwitnący sad obok oficyny i skierowali się w stronę zabudowań gospodarczych. Przeszli przez długą stajnię. Większość boksów stała pusta, tylko w jednym z nich znajdowała się gniada klacz. Zatrzymali się tam. Na tabliczce na drzwiach napisane było imię zwierzęcia – Hexa¹¹. Ewa podeszła bliżej i wyciągnęła rękę, żeby pogłodzić ją po głowie.

11 *die Hexe* (niem.) – czarownica, wiedźma, jędza



– Niech panienka uważa – ostrzegł ją towarzyszący jej mężczyzna. – Konie lubią upodabniać się charakterem do imienia, które noszą.

Zalewska pomyślała, że nieznajomy żartuje, a jednak klacz jakby na potwierdzenie jego słów ostrzegawczo położyła uszy po sobie i kopnęła w drewniane wrota. Ewa cofnęła dłoń.

– A nie mówiłem! – roześmiał się mężczyzna. – Ciii, ciii, Hexa. Jakbyś nie podgryzała innych koni, tobyś biegała sobie teraz po pastwisku, a tak musisz tkwić tu sama... I po co ci te twoje złości, co, Hexa? – zwrócił się uspokajającym głosem do konia.

Przez otwarte drzwi stajni usłyszeli głos Tadeusza, ruszyli więc wprost ku wyjściu. Zalewski, tak jak mówiła Ewa, lonżował młode konie na padoku. Spostrzegł zmierzającą ku niemu parę, dopiero kiedy podeszli bliżej. W jednej chwili twarz mu pojaśniała i pojawił się na niej szeroki uśmiech. Oddał lonżę i bat stojącemu obok Maciejowi i ruszył z otwartymi ramionami ku gościom.

– Anton! – wykrzyknął uradowany, po czym objął mężczyznę i poklepał przyjacielsko. – W końcu do nas dotarłeś. Jak się cieszę, że jesteś! Widzę, że moją żonę już poznałeś – dodał. Chwycił Ewę w talii i pocałował ją w policzek.

Anton zaskoczony spojrzał najpierw na przyjaciela, a potem na stojącą obok niego kobietę.

– Ewuniu, to Anton Brodzki, mój przyjaciel z dzieciństwa. Opowiadałem ci o nim, pamiętasz? – zwrócił się do żony Tadeusz.

– Tak, pamiętam – odpowiedziała. – To pan jest tym człowiekiem, który jak nikt zna tutejsze lasy, prawda? – zapytała, utkwivszy świdrujący wzrok w twarzy Antona.



– Tak... nie... – W głosie mężczyzny słychać było zmieszanie. – To znaczy znam tutejsze lasy, ale to nic nadzwyczajnego. Każdy, kto się tutaj wychował, je zna.

– Nie bądź taki skromny – wtrącił się Tadeusz. – Wszyscy wiedzą, że jest inaczej. W przeciwnym razie hrabia Nowowiejski nie powierzyłby ci opieki nad swoimi lasami. Swoją drogą... gratuluję, przyjacielu.

– Rozmawialiście o mnie? – zapytał Anton.

– Tak. Liczyłem, że spotkam cię w Oleszycach w Wielkanoc...

– Przecież mnie znasz...

– Minęło trochę czasu. Mogłeś się zmienić.

– Tutaj nic się nie zmienia. Albo przynajmniej nie tak szybko.

Ewa przysłuchiwała się tej wymianie zdań i miała wrażenie, że między słowami wybrzmiewało coś jeszcze, co było zrozumiałe jedynie dla dwóch przyjaciół.

– Pan pewnie głodny po podróży – zauważyła. – Zapraszam do domu. Weronika coś nam zaraz przygotuje. – Ewa zapraszającym gestem wskazała drogę do dworu.

– Weronika też wróciła? Pani Julia ją puściła? – zdziwił się Brodzki.

– Z żalem, ale jednak przystała na to – wyjaśnił Zalewski. – Weronika tęskniła za Zalesiem, a ja nie wyobrażałem sobie, żeby kto inny mógł być tutaj gospodynią. Ona to przecież prawdziwy skarb. Na szczęście widzę, że Ewa jest tego samego zdania, prawda?

Zalewska przytaknęła.

Udali się całą trójką w kierunku domu. Tym razem wybrali drogę, która prowadziła między stajniami a ogródkiem warzywnym.



Weronika wyszła na próg i wypatrywała ciekawie, któż to się zbliża do dworu. Kiedy podeszli na tyle blisko, że była w stanie rozpoznać nadchodzące osoby, rozwarła szeroko ramiona i ruszyła w ich kierunku.

– Anton... A tu żeś w końcu. Gdzie to cię po świecie nosiło? – mówiła uradowana, ściskając gościa. – Niech no ci się przyglądnę. Ale z ciebie już mężczyzna, nie ma co. Żonę i dzieci masz? – Przeszła szybko do spraw najważniejszych.

– Nie, nie mam – odrzekł Anton, pytany o to samo drugi raz tego dnia.

– Powinieneś brać przykład z Tadeusza!

– A co wy też opowiadacie – przekomarzał się z nią Brodzki. – A która by do lasu pójść chciała?

– Oj, wieczne utrapienie. Nie przegada tu takiego – śmiała się, najwyraźniej zadowolona z wizyty. – A toś pewnie głodny z podróży, co? Zaraz stawę przygotuję i do stołu nakryję i dla państwa, i dla gościa – powiedziała, po czym nie czekając na odpowiedź, ruszyła w stronę kuchni.



Spędzili razem miłe popołudnie. Anton i Tadeusz najpierw wspominali dawne czasy, a potem płynnie przeszli do tego, co aktualnie dzieje się w Zalesiu i okolicy. Ewa z przyjemnością przysłuchiwała się ich rozmowie, od czasu do czasu wtrącając jakieś zdanie albo pytając o to lub owo. Mężczyźni najwyraźniej

